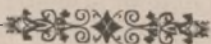


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Dawny ubiór.

TELEFON.

Pogadanka naukowa.

Telefony od roku już przeszło zaprowadzone są w Warszawie i zapewne niejednen z czytelników naszych miał sposobność widzieć z blizka ten przyrząd zadziwiający i słyseć głos, przenoszony przez druciki tak zupełnie, jak depesze telegraficzne. Telefony niezbyt dawno są wynalezione, a już tak się rozpowszechniły na całym świecie, że każdy o nich zasłyseć musiał przynajmniej; niejednen też zapewne zechce się dowiedzieć, jakim

to sposobem można wszelkie dźwięki, a nawet i mowę ludzką przesyłać po druciku.

Przedewszystkiem trzeba dobrze zrozumieć, co to jest głos, jakim sposobem powstają dźwięki i dochodzą ze znacznych odległości do naszego ucha. Głos przepływa przez powietrze, można też najdokładniej obliczyć szybkość jego biegu, która wynosi około 340 metrów na sekundę. Właściwie jednak nie płynie tam nic a nic, tylko w powietrzu powstaje wstrząśnienie, drganie najdrobniejszych cząsteczek gazów, z których się to powietrze składa. Każda cząsteczka, poruszając się, popycha drugą, sąsiednią, ta znowu następną

i tak wszystkie z kolei drgają, to jest wahają się na malutkiej przestrzeni, nie posuwając się dalej. Ale wstrząśnienie ogólne, rozchodząc się na wszystkie strony jednocześnie, może zająć ogromny obszar, który ma zawsze kształt kuli, jeśli nic rozchodzeniu się głosu nie stanie na przeszkodzie. Gdy drganie powietrza dojdzie do naszego ucha, uderza tam o błonę bębenkową, która to drganie powtarza z największą dokładnością i otrzymane ztąd wrażenie przechodzi do mózgu za pośrednictwem nerwów. Jeśli fale głosowe, rozprzestrzeniając się w powietrzu napotkają po drodze mury, skały, drzewa, uderzają o nie, odbijają się od nich i bieżą napowrót, to jest wytwarzają także same drgania, także same dźwięki, tylko w innym kierunku. Z podobnego odbicia głosu powstaje odgłos czyli echo.

Głos nie może istnieć w przestrzeni zupełnie wypowietrzonej, gdzie niema cząsteczek żadnego ciała, któreby drgać mogły. Przekonano się o tym, umieszczając budzik, czyli ekscytarz pod dzwonem pneumatycznym, z którego powietrze wyciąga się za pomocą pompki. Wzrokiem widzi się wyraźnie przez szkło silne uderzenia młotka w dzwonek, podczas gdy ucho nie może uchwycić najbliższego dźwięku. Głos nie tylko przez gazy się rozchodzi, lecz także przez ciecze i ciała stałe, zawsze tym samym sposobem, to jest w skutek drgania najdrobniejszych cząsteczek. Nurek pod wodą słyszy doskonale co się dzieje na brzegu, a i ryby nie darmo przecież mają uszy; wiadomo także, że nieraz przytknąwszy ucho do ziemi, łatwiej pochwycić można tętent oddalony. Trzeba też wiedzieć, że w wodzie głos rozchodzi się cztery razy prędzej, niż w powietrzu, w ciałach stałych jeszcze prędzej.

A teraz zastanówmy się, z kąd pochodzi taka różnaitość dźwięków w przyrodzie? Ileż to wyrazów w mowie służy do oznaczenia tych wszystkich łoskotów, hałasów, szmerów, a wreszcie muzykalnych tonów, które wywierają na słuch nasz wrażenia przykre lub przyjemne. Trzy są własności głosu, nadające mu odrębne cechy, mianowicie: natężenie czyli moc, wysokość i dźwięczność. Też same dźwięki mogą mieć rozmaite natężenie, to jest mogą być daleko głośniejsze, gdy drgania, z których powstają, są obszerniejsze, gdy cząsteczki powietrza z większym rozmachem się poruszają. Dla tego to głos słabnie w miarę oddalenia.

Dруга własność, wysokość głosu, zależy od szybkości drgań. W dźwiękach muzycznych tony niskie, czyli grube, powstają z drgań wolniejszych, tony wysokie, cienkie, z drgań szybszych. Pewna obliczona ilość drgań daje zawsze ten sam ton. Do tego obliczania służą rozmaite przyrzą-

dy. Wyobraźcie sobie naprzykład koło zębate, wprowadzone w szybki obrot za pomocą korby. Trzymając zwyczajną kartę naprzeciw ząbków koła, słyszy się wyraźnie przeciągły ton, tēm wyższy, im prędzej koło się obraca, to jest, im częściej następują po sobie uderzenia ząbków o kartę. Wiedząc, ile jest ząbków na kółku, obliczwszy następnie, ile razy to kółko obróciło się na sekundę, można z łatwością oznaczyć, jaka liczba drgań na sekundę wywołuje pewien ton muzyczny. Tak naprzykład *a* kamertonowe, według normy przyjętej w Niemczech, powstaje z 440 drgań na sekundę; w orkiestrach francuzkich ten ton jest nieco niższy, odpowiada 435 drganiom. Pojmujecie, że gdyby jeden fortepian był nastrojony podług kamertonu niemieckiego, a drugi podług francuzkiego, i gdyby dwóch artystów zagrało na nich sztukę na dwa fortepiany, wprawne ucho pochwyciłoby niezgodność pomiędzy tonami. Drgania wolniejsze od 30 na sekundę, lub szybsze od 20,000 na sekundę, nie dają już żadnych dźwięków dla ucha ludzkiego dostępnych. Tomy muzyczne mają pomiędzy sobą pewne stosunki niezmiennie, które liczbą drgań oznaczyć można najdokładniej, ztąd wypływa harmonia w muzyce. Ale o tym ciekawym przedmiocie obszerniej kiedyś pomówimy, teraz nie ma na to czasu, jeżeli chcemy dojść do telefonów.

Trzecią własnością głosu jest dźwięczność, którą możnaby także nazwać barwą. Jednakowe tony, z tej samej liczby drgań powstające, mogą mieć odmienne brzmienie. Słuch odróżnia z łatwością dźwięk skrzypców od fletu lub fortepianu, głos ludzki z żadnym narzędziem muzycznym porównać się nie da, a w tym głosie każda samogłoska brzmi odrębnie. Co do spółgłosek, te, jak wiadomo nie mogą być nawet wymówione bez pomocy samogłosek i powstają przez dodanie do tych samogłosek różnych szmerów i szelestów, nie mających w sobie muzykalnych dźwięków. Szczególna ta własność głosu, dźwięczność czyli barwa, przez czas długi była dla uczonych niepojętą zagadką. Dopiero przed dwudziestu laty rozwiązał ją znakomity fizyk niemiecki, Helmholtz. Pokazało się, że dźwięki głosu prawie nigdy nie bywają pojedyncze. Zwykle jednocześnie z tonem głównym, który z pewnością, obliczonej liczby drgań powstaje, odzywają się inne tony daleko słabsze, a tych drgania, szybsze lub wolniejsze, zawsze jednak w pewnych odstępach schodzą się zgodnie z głównym tonem i ztąd noszą nazwę harmonijnych. Tym sposobem wypełniają go, zaokrąglają i nadają mu owę odrębną barwę, czy dźwięczność. Gdy śpiewak na ten sam ton wyśpiewuje głoski *a*, *o*, lub *z*, za każdą razą wydobywa odmienne

tony poboczne harmonijne. Helmholtz próbował pierwszy wyrabiać sztuczne przyrządy, naśladowujące wymawianie samogłosek, za pomocą połączonych drgań kilku blaszek. Na tej samej zasadzie polega machina mówiąca Fabera, o której opowiadaliśmy dawniej czytelnikom naszym.

Trudniej będzie daleko wytłómaczyć, jakim sposobem ten głos, te drgania ze wszystkimi swojemi odrębnymi własnościami, mogą być przesyłane po drucikach telegraficznych. Bo przecież nie wyobrażacie sobie zapewne, że fale głosowe przepływają poprostu przez te druty tak, jak przez powietrze. Odbywa się w tém wszystkiém całkiem inna manipulacja. Wyobraźcie sobie dwie blaszki cieniutkie, które z łatwością mogą być wprawione w drganie. Jedna z nich osadzona jest w przyrządzie telefonicznym, wysyłającym głos, druga w przyrządzie odbierającym; oba te przyrządy połączone są drucikiem, zawieszonym w powietrzu ponad dachami kamienic. Mówiąc w pobliżu takiej blaszki, wprawiamy ją w drganie, które najdokładniej powtarza cały szereg dźwięków, z którego się składają wyrazy mowy ludzkiej. Idzie więc teraz o to, aby druga blaszka, umieszczona na drugim końcu drutu, powtórzyła te drgania, a tém samym i dźwięki podobne wydała. Bał nie łatwa to sprawa, ale od czegoż elektryczność, ta siła niepojęta, która bieży z szybkością błyskawicy i przeróżne zlecenia człowieka spełnia z zadziwiającą akuratnością. Siła elektryczna dziwny ma stosunek z magnesami. Gdy prąd elektryczny przepływa przez żelazo, natychmiast zamienia je chwilowo w magnes; i na odwrót zbliżenie magnesu wzbudza w druciku prąd elektryczny, także chwilowy. Tak siła prądu, jak siła przyciągająca magnesu, może być dowolnie wzmacniana lub osłabiana w miarę większego lub mniejszego zbliżenia. Dwa magnesy także wpływają na siebie wzajemnie w skutek zbliżenia lub oddalenia.

Nie będziemy się nad tém zastanawiać zbyt, gdyż wszelkie tłómaczenia nie zdołają wam dokładnie wyjaśnić, przedmiotu bardzo trudnego do zrozumienia, zawsze jednak z tego, cośmy powiedzieli, możecie już powziąć o tém niejaki wyobrażenie. Przy owiej blaszce, którą mowa wprawia w drganie, umieszczony jest magnes. Pojmujecie, że blaszka drgająca, a zatem w ustawicznym będąca ruchu, zbliża się i oddala kolejno od tego magnesu. Tym sposobem wzmacnia w nim i osłabia siłę raz po raz. Magnes, połączony z drucikiem, stosownie do siły swojej, wzbudza w tym druciku mocniejsze lub słabsze prądy, a te znów działają na drugim końcu na drugi magnes. I otóż tu dopiero odbywa się zjawisko, które wy-

gląda zupełnie na czary, chociaż my wiemy, że jest bardzo prostym skutkiem siły przyrody, umiejętnie zużytkowanych przez rozumnych ludzi. Siła magnesu, pod wpływem magnetycznych prądów, przesyłanych przez druciki, przechodzi przez tak przemieszane wzmocnienia i osłabienia, że sąsiednią błonkę przyciąga to mocniej, to słabiej, a tym sposobem wprawia ją w ruch drgający. Te drgania błonki w przyrządzie odbierającym telefonu odpowiadają najdokładniej drganiom przyrządu wysyłającego, wydają też podobne zupełnie brzmienia, powtarzają dźwięki narzędzi muzycznych, śpiew i mowę ludzką. Drgania blaszki udzielają się powietrzu i zwykłym sposobem przechodzą do ucha ludzkiego. Taka to jest tajemnica telefonów. Ryciny nasze przedstawiają przyrządy te, zaprowadzone w Warszawie.

M. J. Z.

STARY SŁUGA I PANICZ.

G A W Ę D A.

— Co tam słyhać, Pawle, jaka dziś pogoda?...
 — Szkaradnie, paniczu, gołoleź i woda.
 — To ja chyba dzisiaj wstać się nie odważę, I raz drugi w piecu znowu palić każę.
 — Oj w mojej młodości nie tak to bywało, W nieogranęż izbie często się sypiało, Na słomie, pod derką, ba jeśli w alkierzu, To się tak chrapało, jak w niemieckim pierzu...
 Silne też to były dziaduniów postacie, A wy, ich prawniki, wciąż tylko chleracie.
 Pan Sędzia bywało nawet zimą tęgą, Nie lubił poleżeć, zowiąc to mitręgą.
 A wy, mój paniczu, lat piętnaście macie, Na zimno, niewywczas tylko narzekacie.
 Ty, aż wstyd mi, wstyd mi, rzeknę, do kaduka, Że po dzielnym dziadziu patrzę się na wnuka, Co przy piecu siedzi i drży, jak osina...
 Wy nie chłopię pewno, lecz chyba dziewczyna Wyrośnie z was blada i wymokła lala, Ludzie śmiać się będą i omijać zdalea...
 Staś dobre był chłopię z rad starszych nie szydził I odtąd lenistwem, jak dziadzio, się brzydził.
 To też dzielny, zdrowy, krzepki i wesoly Zebrał siły zapas na życia mozoły.

Marya Ciświcka.

PODPORA MATCZYNA,

powieść z czasów dawniejszych.

OFIAROWANA WŁADYSIOWI RATYŃSKIEMU.

przez M . . a.

Dalszy ciąg.

— Ale gdzie tam! — tajemniczo uśmiechając się odrzekł Stach — ja dwie pieczenie myślę na jednym rożnie upiec! Dawno już, jeszcze dzieckiem byłem, gdy ojciec wpół żartem umówił się z sąsiadem Małachowskim...

— Małachowskim? — powtórzył przerywając Trzaska zdziwiony.

— O! są tu Małachowscy najprawdziwsi, tak samo, jak Pace, i bardzo wielu innych potomków najznakomitszych dawnych rodzin polskich i litewskich — objaśnił Stach — ale nie wszyscy nazwisk swych używają, gdy przyczynę mieli zataić je z razu i już tak to pozostało. Otoż zaręczono mię to niby z małą Wandą, ale na tém koniec; panowie ojcowie myślą sobie o starszych dzieciach, o pszczołach, bobrach, niedźwiedziach, no, o wszystkim jedném słowem, tylko o nas podobno zapomnieli. Zdaje im się ciągle, że my małemi dziećmi jesteśmy dla tego, żeśmy najmłodszy. A tymczasem Wanda wyrosła, jak trzcina, a ja niedawno biłem się z niedźwiedziem na pięście, jak z kolegą, co dowodzi także, że nie jestem dzieckiem, i oboje z Wandą wcale nie zapomnieliśmy o tamtych zaręczynach. Umówiliśmy się tedy pocichu, że postaram się sobie sam bez ojca pomocy o dom własny i wyporządzę go, a potem nagle poprosimy tylko panów ojców o błogosławieństwo i wesele, a oni muszą przystać, bo nie będą mieli żadnej wymówki, i tak postawimy na swoim. Zawsze oboje z Wandą mieliśmy zamiar osiedlić się na tój łączce przeslicznej, ale że trudno jest zrobić co samemu jednemu, a i z Wandy przecież nie mogę mieć pomocy, dopóki jest dziewczyną u ojca, więc oglądałem się właśnie za kim do pomocy, gdy wy, panie Trzasko, zajechaliście przed nasze wrotka, wypytujac, jakby i gdzie osiedlić się w puszczy. Ja zaraz sobie obmyśliłem, że będę miał, jeśli wasza łaska, taką pomoc z was, jak wy ze mnie, i dla tego tu was przyprowadziłem; czy zgoda?

Stach zdjął grzecznie kapelusz nizki z pawiem piórkiem i ukłonił się przy ostatnich wyrazach obojgu Trzaskom.

— Ależ zgoda, zgoda, tém lepiej! będziemy sąsiadami! — zawołali oni oboje. Zdawało się, że nawet pani Janowa ucieszyła się i odżyła nadzieją miłego towarzystwa, pomocy, przyjaźni mo-

że. Oboje uścisnęli serdecznie silną a zgrabną prawicę młodego puszczaaka, a on, odejmując z pasa siekierę i uderzając nią w pień drzewa tak, że w nim utkwiała, zawołał:

— A zatem do roboty!

Przedewszystkiem uzbierano gałęzi i rozpalo no duże ognisko, jako najpewniejszą obronę dla kobiety z dzieckiem, zwłaszcza, gdy mężczyźni będą ją musieli pozostawić samą na chwilę. Dalej, gdy Trzaska kończył robotę koło ogniska, Stach pobiegł do pozostawionego za strumieniem wózka i konia, zabrał co było w wozie najkonieczniejszych do pracy narzędzi, innych niezbędnych przedmiotów, żywności i pozosił to wszystko na łączkę. Potem, odprzągłszy konia, przeprowadził i jego z niezmiernym trudem, pokaleczywszy trochę w czasie tój przeprawy i siebie i konia, choć strzegł go bardziej od siebie, skąpał się też z nim razem mimowoli w rzeczce. Dalej poprzemienił po jednemu koła, deski i drągi z woza.

Z tych desek zbudowali dwaj robotnicy natychmiast maleńką chatkę, podobną raczej do zwykłych ogrodniczych budek. Ale chociaż była to istotnie tylko nędzna buda, zbita w kilka godzin z gotowych desek, drągów i gałęzi, to przecież położono w nięj na ziemi kilka takich ciepłych i grubych skór lisich i niedźwiedziach, a po wierzchu jak ją szczelnie nakryto także skórami, darnią i gałęziami, że pani Trzaskowa i jęj synek zabezpieczeni tam byli doskonale od deszczu i chłodu. Przed tą chatą ciągle, a zwłaszcza nocą, postanowiono utrzymywać ogień, dla odstraszenia dzikich zwierząt.

Tak się urządziwszy z tém, co było najpilniejsze, zajęto się dopiéro naprawdę budową prawdziwej chaty. Oczywiście i ta robota musiała być z konieczności sprowadzoną do jak najprostszych warunków, bo robili koło nięj tylko dwaj ludzie i cały materiał do budowy mieli zupełnie surowy, w postaci drzew na pniu stojących. Narzędzia jedynie mieli dobre. I otóż, mimo tych trudności i mimo pośpiechu, przecież dwaj robotnicy byli tak dalece szlachtą na wskroś, że ani chcąc tego, ani wiedzac o tém, zamiast chłopskiej chaty wybudowali szlachecki dworek. Pani Trzaskowa pierwsza to spostrzegła nawet, zobaczywszy okopany na zielonej łące pierwszy zarys przyszłej budowy:

— A cóż to będzie? — spytała, stając przed małym podniesieniem u jednego z dwóch dłuższych boków przyszłego swego mieszkania.

— Ganeczek, oczywiście! — odpowiedzieli dwaj robotnicy.

— A więc budujecie dworek? a miała to być

chata; przedsiębiorzecie pracę nad siły dwóch ludzi — mówiła Trzaskowa.

— A prawda, nie spostrzegłem, że to będzie dworek — mówili dwaj szlachcice, a po namyśle Stach dodał:

— Ej, co tam! trochę staranniej, troszeczkę więcej roboty, a będzie za to, jak być powinno; ten będzie wasz, a mój z tamtej strony rzeczki będzie taki sam. Dwa dworki będą się do siebie prosto ganeczkami śmiały. Na ganeczkach będą ławki, ganeczki obrosną dzikiem winem i powojami pachnącymi, za dworkami będą sady, grusze, jabłonie; po boku stajnia, obórka, stodoła, a przez rzeczkę prosto, jak strzelił, od ganeczku do ganeczku mostek! Ej, bodaj żyć i nie umierać! I na zakończenie tego planu przyszłych budowli, młody budowniczy huknął ochoczo tak, jak się w lesie luka, i siekierę, którą drzewo ciosał, w górę radośnie wysoko cisnął, i zręcznie w powietrzu pochwycił. Przestraszona Trzaskowa takim radości objawem, chwyciła równocześnie synka, zasłaniając go przed spadającym ostrzem narzędziem, ale Stach ani widział jęj przestachu.

Jednakże, pomimo, że budowli nadawano kształty dworku, przecież sposób sam budowania musiał pozostać, jakby na najprostszą chatę, pierwotnym prawie. Wybrano kilka drzew, stojących w środku łąki, najbliżej strumienia, i tworzących podłużny czworobok, i uciawszy je na wysokości sążnia, odarto te pnie z kory i otrzymano w ten sposób główne podpory i posady, silnie w ziemi utwierdzone, na których można było wesprzeć i utwierdzić ściany i dach daleko bezpiecznie, niżby to w inny sposób udało się zrobić dwom ludziom, nie bardzo nawet obeznanym z budownictwem. Przestrzeń ścian pomiędzy owymi pniami utworzono z okrągłaków, a szpary szczelnie poutykano mchem leśnym. Wylepiono ściany i podłogę doskonale gliną zewnątrz i wewnątrz, bo glinę kopano w pobliżu, i dopiero to wszystko uczyniwszy, gdy chatka ta schła powoli, robotnicy swobodnie już nakrywali ją dachem z gont, bielili wapnem, wybijali deskami, czego wszystkiego dostarczała puszcza, ale trzeba było niektóre rzeczy od sąsiadów i ojca Stachowego sprowadzać z wielkim trudem

Z początku patrząc na tę ciężką pracę, Trzaskowa zaledwo od łez wstrzymać się mogła, ale gdy najniespodziewaniej spostrzegła, że znękany i wynędzniały Jan Trzaska zaczyna coraz lepiej wyglądać, coraz zwawiej i weseliej śpiewać i gwizdać, i poprostu jakby młodniec w owęj ciężkiej pracy, wtedy pani Trzaskowa płakać przestała i pracując także, co sił starczyło, uczyła się zdro-

wą i szczęśliwą, jak nigdy dotąd nie była. Praca Trzaskowej polegała głównie na dostarczaniu żywności i przyrządzaniu jęj dla wszystkich.

Przyrządzanie jak przyrządzanie, ale zdobywanie żywności było tak łatwem w tej dzikiej, nigdy dotąd nie wyzyskiwanej ustroni, że ta jedna okoliczność mogła już uradować rządzą gospodynię. Ryby obficie zamieszkiwały rzeczkę, jak do dzisiaj jest w tej puszczy. Grzyby wyrastały z pod stopy, gdzie było spojrzeć. Dość było zastawić sidła, aby prawie natychmiast zatrzepotał się w nich smaczny jarząbek, lub jaki inny ptaszek. A od czasu do czasu Stach, odszedłszy w bok puszczy, aby zwierząt koło domu nie wystraszać, i zastrzeliwszy dzika, sarnę albo zająca, przynosił je do domu, na pieczeń. O zbieraniu zapasów suchego drzewa na ogień także Trzaskowa już tylko myślała, i inne gospodarskie pełniła obowiązki, a przychodziło jęj to wszystko daleko łatwiej, niżby temu uwierzyć mogła niegdyś, gdy mieszkając w mieście i trzymając dwie służące, ani wyobrażenia o dzisiejszym swém życiu nie miała. Mianowicie najłatwiej przychodziło jęj to wtedy, gdy patrzyła na zdrowego i wesołego Trzaskę i na malca, swojego synka, który w puszczy tak dzielnie wyrastał i taki był zdrow, silny i rozumny, jak się tego ani spodziewać dawniej nie było można.

Przed zimą stanął dworek śliczny, ciepły, wygodny, i wykończony ze wszystkiem, a przede wszystkim z prześlicznym owym tradycyjnym ganeczkiem na przedzie. Zamieszkawszy w nim wygodnie, natychmiast, o ile pora pozwalała, przygotowywano materiały do budowy drugiego dworku, chroniąc je przed słońcem w szopie, wystawionej na prędcę.

Zima przeszła spokojnie i z zacisznie, bo nie brakło trzech głównych warunków dobrobytu: suchych drewek do komina, nie starój lecz szczerzej przyjacielskiej zgody, i wybornego miodu na pokrzepienie sił po myśliwskich trudach i po dostatej z ich łupu wieczery. Zaledwo pora dozwoliła, zabrano się natychmiast do budowania drugiego dworku na przeciwnym brzegu wążutkiej rzeczki, na wprost pierwszego. Poszło to daleko prędzej i łatwiej, niż z pierwszym, bo wszystko było przygotowane i swobodnie teraz i umiejętniej pracowano. Wprzódy zaś jeszcze zbudowano pomiędzy dwoma dworkami mostek, oparłszy go na kilku mocno wbitych palach w płytkie dno wążkiej lecz wartkiej rzeczki.

(D. c. n.).

OLSZTYN.

OBRAZEK DRAMATYCZNY W DWÓCH AKTACH.

przez Sewerynę Duchnińską.

(Dokończenie).

Scena IV.

Ciż sami i Choraży.

CHORAŻY (*wchodząc*).

Tak łaską Maryi, my już wybawieni,
U bram Olsztyna niema szwedzkiej stopy,
Oddział ich przytarł pod same okopy;
Lecz im zabiegła szlachta od klasztoru,
Wsiadła im na kark, i cwałem do boru,
Ku szlaskiej stronie, przez lody i śniegi,
Zwycięzko pędzi spłoszone szeregi.
Jam biegł dać hasło, działa grzmieć już miały,
Aż tu z podjazdem młodzian lotem strzały
Spadł, niby orzeł, na zastępy ptasze;
Zagrzmiało hasło, szczęknęły pałasze,
Szwedzkie i polskie zmieszają się znaki,
Starły się pierśmi spienione rumaki,
I w mgnieniu oka, istnie jakby czarem,
Wiatr silniej szwedzkim powionął sztandarem.
Patrzę, nasz młodzian trzyma go w prawicy,
Padł Szwed na duchu, i w lot błyskawicy
Odbiegł Olsztyna.

STAROŚCINA.

I któż był ów młodzian?

CHORAŻY.

Nie wiem, w stalową kolczugę przyodzian;
Z ramion mu burka spadała, a lica
Głęboko twarda cieuiła przyłbica.

ZOFIA (*na stronie*).

To on! (*smutno*) lecz Skarbnik widział zbroczonego
We krwi potoku!

(*Słychać trąby*).

STAROŚCINA (*nieśpokojnie*).

Coś zaszło!

CHORAŻY (*z uśmiechem*).

Nic złego,

Bądźcie spokojni.

(*Do Zofii*).

Spójrz, dziecię, za wały,

Powiedz, co widzisz.

(*Zofia wbiega żywo na wschodki i staje u okna*).

ZOFIA.

Nasi! hufiec mały

Ciągnie gościńcem; co widzę? po przedzie
Zbrojna niewiasta rój pancernych wiedzie,
A pod nią płąsa koń biały, jak mleko;
Pod wał się zbliża, już tu niedaleko:
Wiatr jęj chorągiew nad głową rozwiewa.

STAROŚCINA.

Któż to być może?

CHORAŻY.

Czarnieckiego dziewa!

Oj, nieodrodna w dzielności i sławie,
Szweda orężem odparła w Rzęsawie,
I dąży drogą już oswobodzoną,
Utulić głowę na ojcowskie łono;
Janusz ją przywiódł tu, do bram Olsztyna:
Cześć jęj.

(*Słychać głosy opodal*).

Niech żyje! *).

WOJSKI.

Dzielna Katarzyna!

(*Głosy opodal*).

Chwała zacnego kasztelana córce!

ZOFIA (*z zapalem, trzymając się kraty*).

O! tyś szczęśliwa! Na gromy, na burze,
Śmiało wystawiasz pierś twą, Katarzyno,
A mnie beczynninie w tych murach dni płyną!
Czemuż nie mogę wyłamać tęj kraty,
I biedz za tobą, jak sokół skrzydlaty,
Gdzie oręż błyska, gdzie grzmieć ogniem działa,
Kędy cię czeka zwycięstwo i chwała!

STAROŚCINA (*wskazując Zofię*).

Co jęj się marzy!

CHORAŻY (*z uśmiechem*).

Zuch nasza dziewczyna!

Scena V.

Ciż sami i Janusz, potem Bylina.

JANUSZ (*wchodząc*).

Z panem Chorażym chce mówić Bylina.

CHORAŻY.

Wpuścić. O Boże! wieści z Jasnej Góry!

BYLINA (*wchodząc*).

Grodu świętego ocalone mury;

Witam was, bracia.

CHORAŻY.

Witamy nawzajem.

BYLINA.

Pan miłosierdzie okazał nad krajem.

Chwała mu wieczna!

CHORAŻY.

Mów, bracie, jak było?

BYLINA.

Przed świtem natarł Szwed olbrzymią siłą,
Krakowskie działa rozwarły paszczęki,
Co żywo chwytam rusznicę do ręki!
Drze się na szańce chmara napastnicza,
Już wyglądają ohydne oblicza.

*). Miejscowe podanie, dotąd przechowywane, opowiada o dzielnej obronie Rzęsawy przez córkę Stefana Czarnieckiego.

Ilekróć śmiałkom bryzniem kulą w oczy,
 Tylekróć w fosę nowy trup się stoczy;
 Ale Szwed dziki zapału nie traci,
 Pnie się do góry po trupach współbraci.
 Im sroższa napaść, tém dzielniejszy opór;
 Rzucam rusznicę, pochwygam za topór,
 Patrzę, a z fosy wygląda do góry
 Z mrowiska Szwedów łeb wodza ponury!
 Na złomie muru, jak niedźwiedz na barci,
 Wsparł obie ręce, i coraz zażarciój
 Rwie się do góry mocą wyteżoną,
 Świecą mu oczy za krwawą osłoną.
 Nogami wsparty o ramiona bratnie,
 Do skoku siły dobywa ostatnie;
 Jam się zamierzył, topór świsnął w górze,
 I ręce Szweda zostały na murze.
 Rozżarty wałę raz drugi i trzeci,
 Trzeszczy drabina, a grad Szwedów leci
 W głęboką fosę, gdzie zbici na kupy,
 We krwi pluskają wraz żywi i trupy.
 Nagle nas płomień ogarnął w około,
 Lecz śmiało w górę wieża dźwiga czoło!
 Przeor-to zatlił domostwa i stogi,
 Aby z kryjówek powypłaszać wrogi;
 Zdławieni dymem, spieczeni pożarem,
 Walczym na szaićcach, a kule, jak czarem,
 Jedne przenoszą z świstem nasze głowy,
 Drugie padają pod wał okopowy.
 Zabłysła zorza przez słupy z płomieni,
 A my upadli na siłach zwątleni.
 Widzą to Szwedy, zbiegają jak mrowie,
 Krew płynie, tułów pada przy tułowiu,
 Zgiełk, wrzawa, lament, jęk rannych brzmi głuchy,
 Brak sił w ramieniu, brak w sercu otuchy!
 Spojrzę za siebie: na wyłomie skały
 Stoi Kordecki, jak Stróż Anioł biały;
 Krzyż Chrystusowy wzniosł w górę prawicą,
 W lewój chorągiew z przeczystą Dziewicą
 Trzyma, jak tarczę, łśni oko natchnione,
 A usta szepcą: „Pod Twoją obronę”.
 Po obu stronach dwaj wodzowie stoją,
 Miecznik Zamoyski twardą odzian zbroją,
 Na ciepłej jeszcze oparł się rusznicy,
 A Piotr Czarniecki w pół zgasłej źrenicy,
 Tłumiąc łzę, patrzy na klasztorne mury.
 On, co mógł niegdyś w bój wyzywać tury,
 Bez sił, bez ducha, okopcony w dymie,
 Oparł na szabli ramiona olbrzymie.
 Wtém, jakby tknięci cudotwórną mocą,
 Nagle im oczy żarem zamigocą:
 Ockną się w duchu, na ciemne oblicza
 Wybija z głębi jasność tajemnicza,
 I jam w ich ślady wzniosł oczy ku górze.
 Widzę, nad wieżą, w promienistej chmurze,
 Stoi Dziewica w gwiazdy uwieńczona,

Do stóp jęj spływa gwiazdzista zasłona,
 A u podnóża rój aniołów strzeże
 Od mocy Szweda Jasnégóry wieże!
 Widzą to nasi, czczą pieśnią Królowę,
 W zwątlonych barkach czują siły nowe,
 Biegną na wały, bój krwawy się wszczyną,
 Trąby z krążanku brzmią *Salve Regina*.
 A wróg zjawiskiem jak gromem rażony,
 Trąbi na odwrót, rozpierzcha się w strony,
 RzUCA namioty i krakowskie działa,
 Jak wzrok zatoczysz, nasza przestrzeń cała.
 (*Wszyscy upadają na kolana*).

STAROŚCINA (*podnosząc ręce do góry*).

Maryo Królowo! coś potęgą cudu,
 Miecz odwróciła z karku twego ludu,
 Dzięki Ci, Pani, składamy w pokorze.

CHORĄŻY (*do Byliny powstając*).

Czy żyje Zbigniew Ligęza?

ZOFIA (*na stronie*).

O Boże!

BYLINA.

Nie wiem, jam gościem w fortecy od wczora;
 Poznałem tylko wodzów i przeora.

CHORĄŻY.

Więc Karol Gustaw strącon już na głowę?

BYLINA.

Dopiero dzieła spełniono połowę.

CHORĄŻY.

Chlubny początek!

BYLINA.

Dotrwajmy tak dalej,

Niech naród króla jednością ocali;
 A gdy zapadnie w Tyszowcach narada,
 Jak bystre orły rozlećmy się w stada,
 Na bój ze Szwedem o śmierć lub o życie!

CHORĄŻY.

Zostań do jutra, wyruszym o świcie...
 W Bogu poczęta niech dojrzeje sprawa,
 Niech króla wierna powita Warszawa!

BYLINA.

Wnet to nastąpi, zapewnić was mogę;
 Gdy błogosławił mnie przeor na drogę,
 W progę cudownej kaplicy przed chwilą
 Rzekł: „Losy nasze na dobre się chyłą,
 Stefan Czarniecki przysłał tu dziś gońca,
 Jutro się zrywa, i o brzasku słońca,
 W imię Kaźmierza, narodu i wiary,
 Znowu zwyciężkie rozwieje sztandary”.
 Padłem na ziemię, radością przejęty,
 A chór brzmi w górze: *Święty, Święty, Święty!*
 Jam nie śmiał, bracie, z prochu unieść czoła,
 Jąkłym zasłyszał trąbę archanioła,
 Co kłęskę niebios odwołuje cudem,
 Nad biednym królem i niewinnym ludem.

STAROŚCINA.

Chwalaż Ci, Panie!

(Słychać trąby).

Znów trąby zagrzmiały.

ZOFIA *(biegnie do oknu i woła).*

Nasi! w cwał hufiec podbiega pod wały!

Most opuszczają.

WOJSKI.

I któż to być może!

CHORAŻY.

Patrz dobrze, dziecię!

ZOFIA *(patrzy, poznaje Zbigniewa, napót omdlała z radości chwytając się kraty i padając na kolana we framudze okna, mówi stłumionym głosem).*

Scena VI.

CIŻ SAMI, JANUSZ I KILKU PACHOŁKÓW.

JANUSZ *(wchodząc).*

Tak, odparł Szwedów od Olsztyna,
I przybył spocząć. O! wielka godzina,
Już nam stanowczo w tej chwili uderza!
Ciagną zastępy Jana Kazimierza
Tu od Halicza, pośpieszym pochodem,
Brzmia święte hasła: „Zgoda! król z narodem!”
Kto żywy ptakiem pod Tyszowce leci.

CHORAŻY *(żywo do służby).*

Osiodłać konie! dalej za mną, dzieci!

(Do Zofii).



Telefon (str. 497).

O! dzięki Ci, Boże!

Czyż niedość łaski, Niebieska Królowo,
Żeś grom skruszyła nad narodu głową,
I serce moje boleścią zwałtłone,
Pod skrzydły Twemi znalazło uchronę!

CHORAŻY *(do Starościny, wskazując Zofię).*

Patrz! lzy jej płyną, a w oku wesele!

(Do Zofii).

I któż to?

ZOFIA *(słabym głosem).*

Zbigniew na podjazdu czele.

WSZYSCY *(z radością).*

Zbigniew!

Daremnie łzami oblewasz jagody,
Raczéj na inne przysposób się gody!
Niech Tyszowiecka załatwi się sprawa,
Skoro za Bałtyk wypędzim Gustawa,
Ślubny kobierzec rozesłać wam każę.

(Do starościny, Zofii i niewiast).

Teraz królowej nieście wieniec w darze,
Z pieśnią na ustach, z pochyloném czołem,
Na Jasnagórę podążajcie społem;
My bój rozpocniem, współdziałajcież z nami,
Krusząc niebiosa modlitwą i łzami;
A ta Królowa, co ustrzegła grodu,

Rosę pociechy zjedna dla narodu;
I Bóg nam błędne sprostuje manowce,
Niech żyje Kaźmierz!

WSZYSCY.

Daliej pod Tyszowce!

GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANEJ FAŁI.

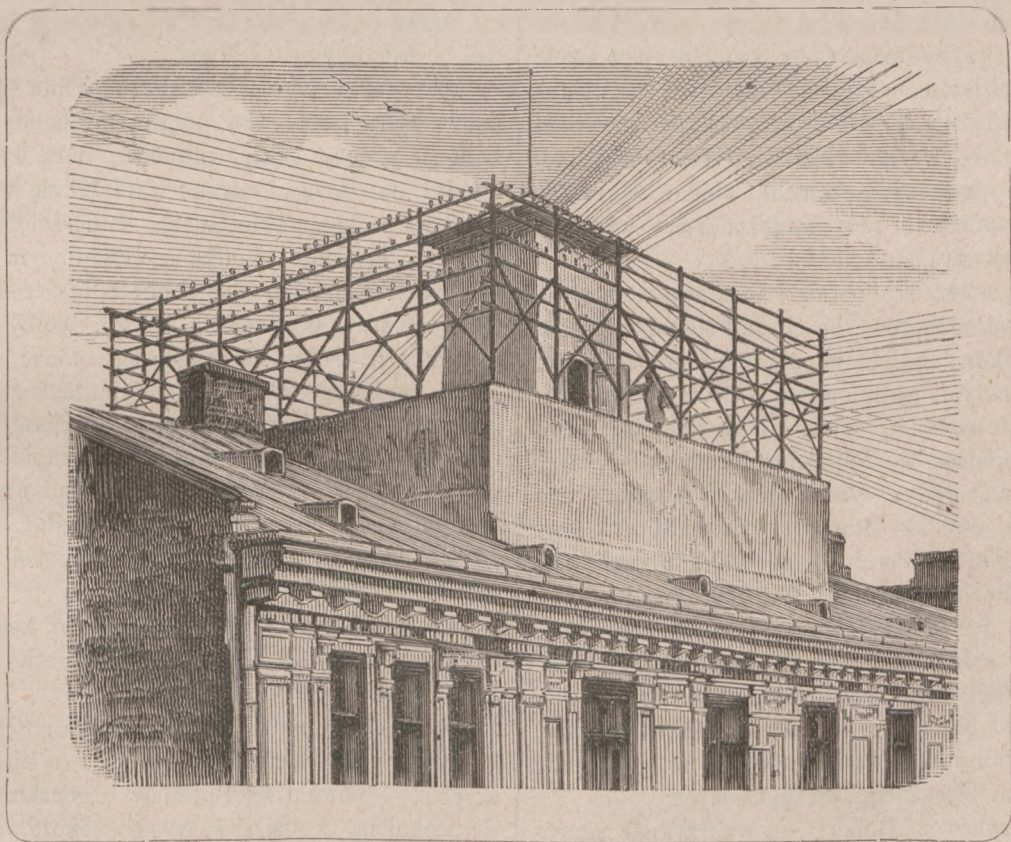
przez M...a.

Źródło złęgo.

Niejeden zamek, niejeden gród, wznosi wspólnie dumne czoło ponad wiślaną fałę, ale podobno nie z jedną tą fałę, lecz i z wielu innymi pły-

słości, na której widzisz jego szczyty, mimowoli dopatrzysz w zamkowych tych szczątkach i w katedrze, część ich murów stanowiącej, niby parę rodziców poważnych, a dzielnych i zacnych, osiadłych na wyżynie po to, aby opiekę nad dziećmi swymi, domkami i siołami daleko na okolicę rozciągać.

Tak właśnie wyglądał zamek płocki, wraz z kościołem szeroko i wysoko rozsiadły na rozległym wzgórzu roku 1090. Nie był on wtedy jeszcze na wskroś murowany tak, jak go wznosił dopiero Kazimierz Wielki, z dwiema wysokimi wieżami, z podwójnymi murami wokoło, fosami, co wszystko razem czyniło go obronną twierdzą



Budynek mieszczący biuro Telefonów w Warszawie.

naćby wśród skał i zieleni potrzeba, by ujrzyć drugi gród równie uderzający poważną pięknnością, jak Płock. Bywają po świecie zamki i kościoły na wyższych jeszcze skałach osiadłe, ale jedne z nich mają taki pozor, jakby ich mieszkańcy już tylko do nieba chcieli się dostać, zapomniawszy o ziemi. Drugie znów wyglądają jak gniazda rozbójnicze, z których dumni, krwawi panowie, wypadali, jak dzikie sępy, na zdobycz. A inne jeszcze wyglądają na to, czém rzeczywiście były, na strażnice przeciw wrogom.

Leez nie takim był zamek płocki. Dziś jeszcze, zbliżając się do stóp skalistęj, ogromnej wynio-

tak silną, jakich mało było naówczas w wieku Kazimierza. Nie był jeszcze takim roku 1090, na siłę jego składało się wówczas tylko drzewo i glaz, wały ziemne, ostrokoły, a jednak musiał już być bardzo obronnym. Dowodem tęg jego obronności jest ta okoliczność, że pomimo nieustannych najść i napaści litewskich i pruskich, niszczących wszystko na okół, pomimo, że cały Płock padał w perzynę i gruzy, jak w 1244, przecież zamek, ucieczka i obrona ludu i ziemi, nie bywł nigdy wzięty, nigdy zdobyty. Dopiero w 1260 r. spalił go Mendog litewski i odtąd, choć go odbudowywano, nie było to ostatnie spalenie.

Ale r. 1090 zamek był jeszcze cały z głazu i modrzewia, prosty, silny i dzielny tak, jak młodzian dorodny, który w cieniach tajemniczych nie dawno zapadłej nocy stał u stóp zamkowego wzgórza, nad Wisłą, na wpół skryty w jednym z licznych tego wzgórza załamów. Sam on był ukryty, ale ze stanowiska swego mógł dobrze widzieć, i zamek piętrzący się nad sobą, i wiślane fale pod sobą, od których stał niedaleko. Stał i patrzył bacznie, to na zamkowe mury, z głazów potężnych złożone, to na wartką Wisłę, jakby i z tą i z tamtą albo oczekiwał, albo obawiał się czegoś... Jednak, mimo tej widocznej uwagi natężonej, nie znać było na twarzy jego ani śladu niepokoju, zdawał się za silnym, aby mógł się niepokoić. Ale za to natężenie wzroku wśród cieniów nocnych wryło bruzdę na młodem jego czole i widoczniejszym uczyniło skrzywienie ust niedużych i kształtnych, ale wykrzywionych skutkiem jakiejś wady w ich układzie. Skrzywienie to, jak wiele podobnych, musiało znikać w rozmowie lub uśmiechu, i przy poruszeniu ust, występowało mniej wyraźnie.

Księżyc świecił jasno, i to zdawało się przeszkadzać młodzianowi, bo chronił się od księżycowych blasków, zagłębiając się w załomie skalnym. Ale za każdym głośniejszym w nocnej ciszy pluskiem fali wiślanej, wychylał się znów ze swego ukrycia, śledząc Wisłę niecierpliwem okiem, zwyczajnie, jak młody. Cisza nocna podwajała jego złudzenia, czas się dłużył, zwyczajnie, jak przy czekaniu, księżyc srebrny spokojnie płynął sobie po błękitnych niebiosach. W kilku oknach zamku migotało jeszcze światło, jak zwykle częstokroć przez noc całą. Nagle fala silniej plusnęła i z małej rybackiej łódki, pędzącej u wybrzeży, wyskoczył drugi młodzian. Pierwszy sunął ku niemu, tamten stanął, spotkali się twarzą w twarz przy słabym, ale wyraźnym świetle księżyca:

— Królówic Bolko! — wykrzyknął nowoprzybyły. — A co tu królówic robi o tej porze!

— A tobie co do tego! — groźnie, choć nie głośno odpowiedział napadnięty. — Czy to mnie nie wolno zapuszczać wędki i zakładać sieci u stóp mojej chaty, jak tobie wolno u stóp twojej?...

Nowoprzybyły chłopak pomyślał, podrapał się za ucho, a potem odpowiedział:

— Ach! jaki ja też głupi jestem! to się wie, panie Bolku, wolno na całym tym brzegu zapuszczać wędki i sieci, gdzie wam się tylko podoba, a mnie tylko tam, gdzie wy mi pozwolicie, bo wasza chata jest wielki zamek na górze, a moja tu nad samym brzegiem na dole!

A na to z gniewem odparł królówic Bolko:

— To nie jest prawda, co ty mówisz! nie tła

tego mi więcej wolno, że moja chata stoi na górze! ale dla tego, że ja lepiej umiem sieci zakładać! A temu kto winien?...

Na to pytanie nie umiał młody rybak odpowiedzieć, aż sam królówic Bolko, zwan później Krzywoustym, zapominając jakby o swych własnych sprawach, zszedł z nim na brzeg fali i kąpiąc prawie w niej stopy, objaśniał mu tajemnice zakładania sieci i wędek. Pokazało się, że królówic był dziesięć razy w rzeczach rybackich świadomszy od rybackiego syna, leniucha w swoim rzemiośle, ale nie złego serca przecież. Rybak serdecznie podziękował królówiczowi za jego nauki i pobiegł uradowany do chaty swjej poblizkiej. Królówic zaś, niby odbiegłszy wraz z nim ku chatom, wrócił znowu po chwili i skrył się napowrót w tej samej co wprzód rozpadlinie.

Ale tym razem nie czekał długo: fala plusnęła, znowu rybacka śpiewka, półgłosem nucona, zabłąkała się między skały, młodzian obcy wyskoczył z łódki na brzeg i odrazu zagłębił się w skalne załomy, unikając świetlanych smug księżyca zręcznie i wprawnie. Łódka z wiosłującym innym młodym chłopakiem pomknęła dalej i znikła, nie zatrzymawszy się wcale u brzegu; ktoby dobrze nie patrzył, tenby nie spostrzegł nawet, że ktoś z niej na brzeg wyskoczył. Tymczasem zręczny młodzian, skrywszy się w cieniu skaliste, stanął, i uważnie obejrzał się w około... Nagle w głębi małej rozpadliny, zarysowała się tuż przed nim ciemniejsza od cieniów, wysmukła postać.

— Witajcie w Bogu i w zdrowiu! księżę Zbigniewie! — rzekła ta postać życzliwie.

— Pokój wam i waszemu domowi, księżę Bolesławie! — odrzekł Zbigniew równie cicho i ostróżnie, jak doń przemówiono.

— Memu domowi! och! oto dom i gościna, jaką księżę polski służyć może bratu swojemu, a i to skrycie! — powiedział Bolesław z gorzkim w głosie uczuciem, i obejrzawszy się w około, czy nie ma świadków innych, póżc księżyca, silną dłonią poderwał zwykłe na pozór drzwiczki od wieśniaczych piwniczek, jakie tu i owdzie istniały na stoku wzgórza, mało znaczne wśród darni. Z pod uchylonych drzwiczek, o dziwo! zabłysło światelko.

— Wejdźcie, bracie, a prędko, bo wiecie, że tu wszystko oczy mieć może! — tajemniczo rzekł Bolesław, a gdy Zbigniew bez namysłu wsunął się w uchyloną jamkę, on sam go naśladował, zapuszczając spadziste drzwiczki za sobą. Dwaj księżęta znajdowali się teraz w prawdziwej ale rozprzestrzenionej piwnicze wieśniaczej, na przechowywanie jarzyn przez zimę przeznaczonjej. Duża wilczura, porzucona w jednym kącie na garści słomy i kaganek oliwny, płonący ze śwędem na

pnia, udającym stół, zdradzały przecież, że ta piwniczka ludziom a nie burakom i brukwi za schronienie służyła. Wsunąwszy się tu za swym gościem, rzekł Bolesław, stając przeciw niemu z powagą w pół żartobliwą, w pół smutną:

— Witajże mi raz jeszcze, książę, w progach tego mego jedynie własnego zamku na ojczystej ziemi, a pozwól sobie podziękować za to, że przybywasz na prośbę moją, i że nie zawahałeś się wejść na moje wezwanie do tej piwnicy, która wyborną mogłaby być pułapką!

Na to odpowiedział Zbigniew:

— Nie, książę, ufam, że nigdy nie będę musiał aż takićj zdrady od brata się lękać, ale powiedz mi, czyli ty sam jęć się nie lękasz? czyś pewny, że nie jesteśmy śledzeni, że bystre oko nieprzyjaciół naszych nie dostrzegło nas i że nie sprowadzają oni tu w tej chwili nieszczęsnego starca, ojca naszego, wraz z licznymi świadkami, aby go przekonać, że synowie spiskują przeciw niemu?

— Pomyślałem ja o tém — odrzekł Bolesław — trzech dzielnych chłopaków rybackich, moich przyjaciół, czuwa nad nami; rozstawieni są w żłomach wzgórz pobliskich; za najmniejszém niebezpieczeństwem ostrzegą mię umówionym znakiem.

— A więc jeśli tak — rzecze Zbigniew — jeśli mamy chwilę swobody, to mów, książę, pocóż mię wezwał ze Szląska, gdzie był bezpieczny?

— Wezwałem, aby ci tak rzecz powiedział Bolesław: — Bracie Zbigniewie! nieszczęście powinno już było otworzyć nam oczy młodociane; dość już długo nieprzyjaciele nasi, królowa Judyta, siostra cesarska i Sieciech wojewoda, wicherzą wśród nas, uzbrajając nas wzajem przeciw sobie, aby zgubić Polskę, króla Hermana, ojca naszego i nas, i poddać wszystko razem cesarzowi, ku własnej swojej korzyści; dosyć już tego! nie dajmy się im gnębić dłużej! działajmy zgodnie i wspólnie przeciw nim, jak oni dotąd przeciw nam działają!

— Z całego serca! — skwapliwie rzekł Zbigniew. — Ale jakże działać?

— Przedewszystkiēm pogódź się z ojcem! — zawołał Bolesław — tak szczerze się pogódź, jak ja tobie podaję rękę do zgody! — i wyciągnął obie ręce do brata, który uściśnął je, ale wstrząsnął jakoś głową w namysłach, Bolesław tymczasem mówił żywo dalej:

— Wierz mi, gdybyśmy trzej byli w zgodzie ze sobą, nicby nam nie poradził Sieciech i królowa, i cała ich zgraja niemiecka. Całe nasze nieszczęście, całe źródło złego, które trapi nas i Polskę, jest w tej niezgodzie naszēj!

— Tak się to zdaje na pozor — odrzekł Zbigniew — ale ja dawniej na świecie żyję i zapewnić cię mogę, bracie, że to źródło złego, o jakim mó-

wisz, głębiej daleko leży, niż nasza niezgoda; ono leży w słabości naszego charakteru! Ta słabość to czyni nas wygodnemi narzędziami w rękach ludzi przewrotnych, którzy zgubę naszą przez nas samych nam gotują. I cóż bym zyskał, choćby upadłszy do nóg królowi, ojcu naszemu, przebłagał go za ucieczkę moją do Szląska i choćbym przebaczenie otrzymał, skoro pewien jestem, że Sieciech i królowa potrafiliby to wkrótce odmienić, i to może na gorsze dla mnie, niż dziś jest. Dziś otoczony jestem wielu przyjaciółmi, panami polskimi, którzy tak samo, jak i ja, zmuszeni byli uciekać przed uciskiem i dumą Sieciecha i jego Niemców. Czechy i Szląsk dają nam chętną gościnę, mnie przynajmniej wojewoda Magnus podejmuje na Szląsku, jakby syna własnego. A któż mi zaręczy, czyli po przeproszeniu króla, gdy drugi raz za niemieckim podszeptem spadnie na mnie gniew jego, czyli będę mógł wtedy schronić się na swobodę... czy mię więzienie nie czeka? Oto czego obawiać się muszę po słabości charakteru króla. W tém to jest źródło złego, w tej chwiejności naszēj, w braku woli stanowczēj. I wierz mi, bracie, że niēma nieuszanowania synowskiego, ani braku miłości w słowach moich, Kocham ja i szanuję ojca w panu naszym, Władysławie Hermanie, a tylko jako królowi i panu zarzucam mu brak silnej woli. I co więcēj ci powiem, oto nie jego winą to jest prawie, bo ta wada wspólną nam jest i niejako właściwą naszemu rodowi. I jam słaby duchem. Gdybym był silniejszym, czyliż nie powinienbym, stanąwszy na czele przyjaciół moich, wygnańców, z gościnnego Magnusa pomocą, wejść z bronią w rękę do tej ziemi, do tego zamku i zgniółszy Sieciecha, ocalić nas obu i ojca, wydobytając go z pod niemieckiego uciemnienia?

(D. n.).

TYDZIEŃ W WENECYI.

WSPOMNIENIE Z PODRÓŻY.

(Dalszy ciąg).

III.

Przybywszy do hotelu Bauera, gdzieśmy założyły „locum standum“ udałyśmy się na kilkogodzinnny wypoczynek. Czułam się bardzo zmęczoną i zasnęłam mocno, jak mi się nie zdarzało jeszcze; gdy się ocknęłam doleciały mię nagle dźwięki muzyki i śpiewu, ale tak dziwne i zabawne, jakich nigdy nie słyszałam. Koguciem głosem śpiewano wesołej treści piosenki; nie wiedziałam zkąd to się słyszeć daje, popatrzyłam przez okno, nikogo widać nie było, wybiegłam na korytarz i dopiero

spojrzawszy w boczne okno, ujrzałam starca z gitarą i młode pacholę o cudnej twarzyczce ze skrzypczą w rękę. Gdy pierwszy grał i śpiewał ładnie, malec przedrzeźniał każdy ton w grze i śpiewie. Nie rozumiejąc nawet dobrze znaczenia słów, sama ta muzyka jest tak zabawna, że się trudno powstrzymać od śmiechu.

Rzuciwszy w kapelusz starca kilka centimów, musiałem śpieszyć do gondoli, która na nas czekała. Usadowiliśmy się wygodnie, bo wszystkie są miękko wysłane; mogą pomieścić cztery osoby, a przysłonięte czarną budką, lub baldachimem z niewarowego płótna, są równie wygodne jak karety. Dawniej każdy bogaty Wenecyanin starał się zdobyć na jak najwystawniejszą gondolę, wkońcu zbytek ten zaczął przechodzić granice tak, że prawo piętnastego wieku ustanowiło: „by wszystkie bez wyjątku gondole były na czarno malowane“. Dziś można poznać gondole możniejszych po starannem ubraniu gondolierów.

Udałyśmy się najpierw przez Kanał Wielki, a ponieważ nie miałyśmy jeszcze Cicerona to jest przewodnika, sam gondolier wskazywał nam pałace możnej niegdyś szlachty weneckiej. Przed każdym z pałaców są powbijane pale różnokolorowe, wskazujące niegdyś, a jeszcze i dziś pałace arystokracji. Wymienię tu choć część gmachów, jako to: Pałac Barbarigo della Terraga, niegdyś mieszczący piękną galeryą obrazów, która przeszła w posiadanie cesarza rosyjskiego w r. 1850. Pałac Grimani; pałac Mocenigo, zamieszkiwany jakiś czas przez lorda Byrona, poetę angielskiego, w roku 1818, dziś mieści się w nim wystawa sztuk pięknych; pałac Dandolo, pierwotny gotyk, obok którego znajduje się skromne mieszkanie sławnego doży weneckiego, Henryka Dandola. Pałac Manin, ostatniego doży weneckiego, który musiał abdykować z powodu najścia Francuzów w r. 1797. Dziś budynek ten został przeznaczony na bank narodowy. Pałac Vendramin-Calergi budowany w r. 1481 przez Piotra Lombarda, jeden z najpiękniejszych i najciekawszych pałaców mieści obrazy sławnych malarzy; Palmy młodszego, Tintoreta i Bordone.

Wielu pięknych budynków nie mogłam zwiedzić, dla braku czasu. Przepływaliśmy pod mostem Rialto, który jest bardzo piękny; składa się z jednego marmurowego łuku 27 metrów długości i spoczywa na dwunastu palach, podążyliśmy na prawo, gdzieś ujrzeli plac żydowski, brudny, co prawda, ale mieszczący na targu mnóstwo ryb i owoców najrozmaitszego gatunku, po bardzo umiarkowanej cenie. Porozwieszana bielizna i różnokolorowe odzienie nie wywierało zbyt miłego wrażenia; czasem ukazywała się w oknie twarz blada, wyschła stariej weneckanki, której rysy

świadczą o przekwitłej piękności. Oczy jak węgiel czarne, zagasłe, przy białych włosach i bardzo długich zausznicach, które w weneckanki zwykły się przyodzabiać, nadzwyczaj srogi wyraz nadają twarzy. Co mi się jednak bardzo podobało, to ubranie głowy w czarną koronkową chusteczkę, ze zręcznie upiętym we włosach kwiatem białym, a w uszach ogromne złote koła. Wiele mi się zdarzyło widzieć pań w podobnym stroju wieczorem, na placu Św. Marka.

Odbywszy peregrynację aż za miasto, z kądem ślicznie się nam przedstawiały wyspy Murano i Lido: Pierwsza mieści fortecę i cementarz, druga zaś doskonałą kąpiel, musiałyśmy wracać do hotelu, by się posilić cokolwiek. Ponieważ we Włoszech istnieje ten barbarzyński zwyczaj, iż każdy musi się stołować w hotelu, w którym zamieszka, inaczej dopłaca się więcej nad umówioną cenę.

Gdym przepływała przez wielki kanał, zwrócił moją uwagę jeden pałac, w którym kilka ciemnych, długich okiennic było zamkniętych. Spytałam więc gondoliera, co to ma znaczyć? zapytany uśmiechnął się i począł z zapalem opowiadać, że zamknięte raz na zawsze okna mają takie znaczenie: iż tyłu członków rodziny właścicieli owego pałacu umarło, ile okien nawieki zamknięto. Było w tém coś tajemniczego i długo nie mogłam zapomnieć dużych ciemnych okien obszernego gmachu. Łódź nasza płynęła spokojnie, woda się rumieniła od promieni zachodzącego słońca, wokoło pannał ruch i słychać było plusk wiosł. W gondolach siedzieli to Francuzi, to Anglicy, a najwięcej było tam Niemców podróżników, zwiedzających z prawdziwą ciekawością wszystkie zabytki sztuki; każdy z nich uzbrojony w parę czarnych okularów, z obawy, by wzroku nie nadwerężyć, w obu pięściach zaciskał worek podróżny i pled, lub jaki inny pakunek, a każdy starał się mieć jak najbardziej nadętą minę, by się od natarczywości włoskiej uchronić. Mnie Wenecyanie wydali się bardzo sympatyczni i piękni. Zręczność i wdzięk przebija z każdego ich ruchu, a wyznam szczerze, że o ile mogłam osądzić, nie są tak natarczywi w ofiarowaniu usług i upominaniu się o zapłatę, jak tragarze warszawscy. Prawda, że z opowiadania Niemców, bardzo byłam o nich źle uprzedzona. Miałam nawet jedną próbkę ich sumienności, chociaż mógł to być jeden z rzadkich wypadków.

O godzinie dziesiątej, udałyśmy się do teatru Malibran, gdzie dawano „Normę“. Piękne głosy, szczególnie kobiece wywarły na nas głębokie wrażenie. Wyszedszy z teatru zeszyliśmy z naszej drogi i nie mogłyśmy odszukać łodzi, która nas do hotelu odwieźć miała, musiałyśmy więc wziąć

Cicerona i udać się inną drogą. Zostawiwszy okrycia w gondoli pewne byłyśmy iż gdzieś daleko płyną. Tymczasem stało się inaczej. Nie tylko, że nasz gondolier przywiózł je i wręczył odzwieriemu, ale spotkawszy nas na drugi dzień, mocno przeproszał.

Jednego wieczora udałyśmy się na Lido, gdzieśmy płynęły statkiem. Opłaciwszy wejście, udałyśmy się do łazienek. Wtém zbliżyło się kilka pań, przekładając nam, że już jest za późno, i że w żaden sposób kąpać się nie można. Długośmy się broniły, upewniając, że dość jeszcze wcześniej i to szkodzić nam nie może, za nic nie dały się przekonać. Musiałyśmy się udać do restauracji, a usiadłszy na werendzie, która wychodzi na pełne morze, musiałyśmy się rozkoszować pięknym widokiem, oczekując nadejścia parowca.

Oczywiście widok był zachwycający, księżyc świecił w całym blasku, czar rozlewał dokoła; była to chwila niczém nie zamąconego spokoju. Promienie księżyca, odbijały się prześlicznie w miękkich falach Adryatyku, które się powolnie, jakby od niechcienia kołysały; widać było im miło, swobodnie, pozostawać na jedném miejscu, kołysały się więc jak rozkapryszone dzieci, niby same nie wiedząc, czy dalej płynąć. Pod wpływem tego ciepła i światła, myśl moja rozgorączkowana przebiegała przestrzeń ogromną, zawisa chwilę nad rodzinną strzechą i drogiemi mi osobami, z któremiby chętnie dzieliła doznane wrażenia; lecz wnet, jakby z letargu zbudzona, zleciała napowrót, by z gorętszém uczuciem przechować w wyobraźni urok nieprzeciętny morza, co tak ogarnął duszą i wyrzył się na zawsze w pamięci. Gdy dzwonek zabrzączał nad uchem, bardzo się tém zasmuciłam. Żegnałam z ogromném żalem śliczne Lido i wyruszyliśmy dalej.

Wieczór był piękny, a Wenecya królowa mórz przeglądała się w zwierciadle wód swoich. Oświecona była różnokolorowemi lampami, które cudnie wyglądały przy białych marmurach pałaców.

Zamówiwszy sobie Cicerona, zaczęłyśmy zwiedzać od rana kościoły, których tu liczą ośmdziesiąt kilka. Trudno było obejrzeć wszystkie, więc poprzestałyśmy na kilku główniejszych.

Najpierw, udałyśmy się na plac Św. Marka; przestrzeń ta ma 175 metrów długości, wybrukowany cały bardzo pięknie, z trzech stron otoczony wspaniałemi budynkami, które tworzą jeden, ogromny pałac marmurowy, zczerniały już trochę ze starości; na wschód kościół Św. Marka i Piazzetta. Pałace te zamieszkałe były przez dozów. Nowe Prokuratoryste zajmują dziś rezydencją monarchów. Budynki te mają w około marmurowe arkady, pod któremi mieszczą się: kawiarnie,

piękne sklepy jubilerów; biblioteki, sprzedają się ładne wyroby marmurowe, szklane i mozaikowe. Jedyne to miejsce, na którem Wenecyanie pokazują się publicznie i o godzinie ósmej wieczorem wszystko co żyje tu się gromadzi, by odetchnąć świeżem powietrzem. Plac ten wygląda jak najcudniejszy salon; z jasnym niebem zamiast sufitu, miłym blaskiem księżyca oświecony, gromadzi pod arkadami tłumy osób orzeźwiających się lodami, limonadą i kupujących rozmaite piękne drobnostki. Grywa tu zwykle muzyka pułkowa dwa razy na tydzień, mnóstwo białych gołębi krąży koło stolików, gdzie im często okrucy jądła rzucają, są one tak łaskawe, że prawie do rąk przychodzą. O godzinie drugiej po południu sypią im pokarm, żywione są kosztem miasta. Według podania, gdy admirał Dandolo zdobywał Kandyą w początku XIII w. otrzymywał ważne depesze za pośrednictwem gołębi, co się wielce przyczyniło do prędszego zdobycia tej wyspy. Razem z wiadomością zdobycia Kandyi przysłał Dandolo owe gołębie, których potomstwo po dziś dzień jest hodowane przez lud wenecki.

(D. c. n.).

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

Dalszy ciąg.

Nie zaniedbując nic, co mogło się przyczynić do powodzenia, udali się z Makalolosami do owego dalszego lasu. Celem tych odwiedzin było wypłoszenie ztamtąd giraf i napędzenie ich do lasu, przy którym budowano hopo. Nie spotkali tam nasi młodzieńcy ani jednej, ale nie zmartwili się tępem, w przekonaniu, że pożądanе zwierzęta znajdują się tam, gdzie ich właśnie oczekiwano. Powrócili więc co prędzej do obozowiska. Tak samo, jak za pierwszym razem, rozpoczęto od ogólnej naganek. Makalolosy z psami upędzali się po lesie, hałasując najpotężniej, jak mogli, a myśliwi pilnowali po brzegach. W miarę jak naganiacze zbliżali się do otworu palisady, czoło Williama się zachmurzało, bo bardzo mało zwierzyny uciekało bokami, nie słycać było trzasku gałęzi, ani tętnienia ziemi, ani ryków i pisków. Las zdawał się mieścić w sobie samych tylko wrzaskliwych Makalolosów. Gdy nareszcie dognano do końca, ujrzano w obrębie palisady bardzo mało zwierząt, parę antylop krowich, (gnu) i parę dzików... Girafy wyniosły się z lasu zupełnie. Zawód był okropny

Makalolosy, znający zwyczaję tych zwierząt, zapewniali, że musiały uciec do jakiegoś bardzo

odległego lasu ku południowi i że zapewne przez kilka miesięcy nie pokażą się już w tej okolicy. Wprawdzie można było powątpiewać o nieomylności tego twierdzenia. Makalolosy mogli tak mówić, życząc sobie powrotu do ojczystych wiosek.

Mieli tam przecież chaty do budowania, pola do uprawy, co wszystko porzucili jedynie przez posłuszeństwo dla wodza. Niepodobna było wstrzymać ich dłużej. Myśliwi też pozwolili im odejść, z wielką jednakże niechęcią.

Trzy dni upłynęło na zwiedzaniu okolicy na wszystkie strony w promieniu dwudziestu milo wym. Napotkano lasy czułkowe, ale giraf w nich nie było. Zwierzęta te opuściły więc istotnie okolicę i mogły nie wrócić jak za kilka tygodni, lub miesięcy... Makalolosowie może i prawdę mówili.

— Nie utrzymuję ja wcale, żebyśmy byli szaleńcami — rzekł Arend — ale powiadam, że zasłużymy na ten epitet, jeżeli choć jedną minutę dłużej poświęcimy na szukanie tego, czego los postanowił nam odmówić.

— Mów dalej, Arendzie — rzekł Henryk — mów, bo nawet ja sam nie mógłbym mówić rozsądniej.

— Ja nie mam nic więcej do powiedzenia — odparł Arend, wruszając głową, jakby na znak, że rzecz była sama z siebie zbyt jasną, aby potrzebowała dłuższych objaśnień.

— A ty, cóżbyś chciał zrobić? — spytał William Hansa.

— Wracać — odparł. — Podzielał najzupełniej przekonanie Henryka: nie można żądać, abyśmy już koniecznie zwycięzko wychodzili z każdej wyprawy, a otóż ta, którą przedsięwzięliśmy teraz, zdaje się już z góry przeznaczoną na niepowodzenie.

— Dobrze — rzekł William — powróćmyż najprzód do Makory; wszak to nam po drodze.

Spostrzegli, że Facetan gwałtownie pragnął wmięszać się do rozmowy, Henryk zapytał go o zdanie. Buszman posiadał w wysokim stopniu zdolność, dość pospolitą zresztą, wypowiedzania w bardzo wielu wyrazach bardzo mało rzeczy. Szczęściem działo się to przy wieczerzy, a więc panowie mieli czas słuchać jego gadaniny. Pokazało się wedle Facetana, że całemu niepowodzeniu wyprawy winien był Kongo. Facetan mógł być z góry przewidzieć i przepowiedzieć niepowodzenie każdego przedsięwzięcia, prowadzonego przez Kafra lub przez jakiego bądź krajowca, mówiącego językiem zrozumiałym dla Kafra. Po tych uwagach, opowiadał dalej Facetan, że w dziecinnych

latach widywał codziennie girafy, i że gdyby jego panowie znajdowali się między jego ziolkami Buszmanami, najuczciwszém plemieniem w całej Afryce, to bez najmniejszej trudności cel wyprawy zostałby osiągnięty.

Takie zapewnienie wywołało tylko uśmiech na usta panów, bo wiadomo, że Buszmani stoją podobno najniżej w szeregu ludów Afrykańskich. Uśmiech ten uszczęśliwił przecież Facetana, który go przyjął jako dowód potęgi swojej wymowy.

Gdy myśliwi przybyli do nowo powstającej wioski Makory, wódz ten serdecznie zmartwił się ich niepowodzeniem, a przytém zapewnił, że na jakiś czas wyrzec się trzeba wszelkiej nadziei. Opowiedział im, że girafy często zmieniają siedliska, wynosząc się zupełnie z jednej okolicy w drugą, odbywając tę podróż bez odpoczynku po trzydzieści do czterdziestu mil na dobę. Prawdopodobnie przez kilka miesięcy nie pojawi się w sąsiedztwie ani jedno stado z młodem. Mimo to jednakże, Makora siebie i swoich poddanych oddawał jak zawsze na usługi swych młodych przyjaciół. William gotów był pozostać i czekać, ale jego towarzysze tak jednoznacznie pragnęli powrotu, że musiał przystać na to wreszcie. Jednakże położył i tak jeszcze pewne warunki, a mianowicie, że wracając do Graaf-Reinet nie będą jechali prostą drogą, lecz przez kraj Beczuanów i Buszmanów. William zobowiązał się, że nie będzie opóźniał podróży bez koniecznej potrzeby, jego towarzysze nawzajem przyrzekli, że wszelkimi siłami będą mu jeszcze pomagali w dopięciu upragnionego celu.

Czterech młodych Makalolosów z pokolenia Makory pragnęło od dawna zwiedzić europejskie osady, aby zapoznać się ze zwyczajami ludzi białych. Ci więc czarni młodzieńcy wybrali się także w drogę. Ziomkowie dali im kilka wołów z pakunkiem, złożonym ze skór lamparcich, piór strusich, i słoniowej kości; Makora zaś surowo im przykazał, aby wiernie służyli przez drogę Williamowi i jego towarzyszom.

Sam Makora z najznakomitszymi ze swoich poddanych odprowadził młodych przyjaciół o mil kilka. Przy rozstaniu, wódz i Sindo serdecznie i z prawdziwą boleścią żegnali się z Williamem, któremu obaj byli winni życie.

Przyrzekli też uroczyście, że go w jego domu odwiedzą. Nakoniec młodzi Boerowie odjechali, unosząc z tej gościny głębokie przekonanie, że Makalolosowie są plemieniem pełnem dobrych przymiotów i roztropności.

XLI.

Stado bawołów.

Hans, Henryk i Arend, byli teraz najszcześniejszymi ludźmi pod słońcem, czując, że już na pewno wracają do domu.

Ale inaczej rzeczy się miały z Williamem. Jechał on wraz z innymi do domu, ale myślał o tém tylko, aby do niego bez giraf nie wracać. Korzystał po drodze z lada pozorów, aby podróż opóźnić, uganiając się za tą zdobyczą, że zaś wstydił się sam przed sobą takiego niedotrzymania umowy, wmawiał i w siebie i w drugich, że musi polować dla zaopatrzenia karawany w zwierzyne; no, i żeby się nie zanudzić przez czas podróży.

Trzeciego dnia rano myśliwi spostrzegli ogromne stado bawołów, pasące się u stóp pagórka, o pół mili od ich obozowiska. Natychmiast William skoczył na siodło i podążył w ową stronę; inni nie mieli jakoś ochoty dotrzymać mu towarzysztwa.

— Dobrze! — mruknął Arend — jeszcze jeden dzień się przewlecze; William zabije bawołu i każe nam tu pozostać, póki go nie zjemy.

— A tak, — rzekł Henryk z westchnieniem — ale w każdym razie, dla czegoż mamy się wyrzekać przyjemności polowania?

Tak rozmawiając, Henryk i Arend dosiedli także koni i udali się przeciw za Williamem. Hans, wcielona cierpliwość i wyrozumiałość, pozostał w obozowisku. William jechał z wolna, aby nie płoszyć zwierząt, więc towarzysze wkrótce się z nim zrówniali.

Bawoły w licznej gromadzie, około dwóchset, szły wszystkie w jednym kierunku, bardzo wolno, ponieważ pasły się idąc.

Gdy myśliwi zbliżyli się na jakie trzysta metrów, zwierzęta spostrzegły ich, popodnosiły łby, popatrzały i najspokojniej zaczęły paść się znowu: przewodnik stada nie dał hasła do ucieczki.

— Trzeba zejść na lewo i obejść je — rzekł William — gdyby stare uderzyły na nas, ucieknemy na ten pagórek.

W chwili, gdy myśliwi dosięgli pagórka i znajdowali się już o sto kroków od stada, kilku samców zwróciło się ku nim nagle w groźnej postawie, aby dać czas do ucieczki samicom i cielętom.

Wiadomo, że konuo nie strzela się celnie, przeto nasi myśliwi zeskoczyli z koni, każdy obrał sobie zdobyc i trzy wystrzały padły. W odpowiedzi niektóre bawoły uderzyły na strzelców. Konie wystraszone stawały dęba, trudno ich było dosiąść prędko. Arend i Henryk w czas jednakże dosiedli swoich, ale koń Williama, choć już nie raz zbliżał się nawet do słonia rozwścieczonego, przeciw te-

raz przeląkł się tak okropnie, że usiłował koniecznie wyrwać się panu swemu. Pomimo siły niezwykłej, młody boer dał się pociągnąć na kilka kroków, poczem jeden lejc pękł, a drugi, przerznięwszy mu palce do kości, wyrwał mu się z rąk. Wtedy właśnie jeden z bawołów prawie dosięgał strzelca. William pomimo swój ogromnej budowy, był dosyć lekkim, lecz trudnoby mu przyszło ścigać się z afrykańskim bawołem. Szczęściem jeden z wołów, służących za wierzchowce Makalolosom, wystraszony napaścią bawołów, zaplątał się pomiędzy rozjuszone zwierzęta, i bawół, goniący Williama, uderzył rogiem straszliwym w ukazującego się nagle przed nim krewniaka. To ocaliło Williama. Wół padł, jak pod uderzeniem piorunu. Cztery psy rzuciły się na bawołu, z niejaką ostrożnością przecież, gdy jeden, chcący go pochwytać za paszczę, został stratowany. Wtedy myśliwi mogli przypatrzeć się, jak słynny z mściwej zaciekłości bawół afrykański, zabiwszy psa, jeszcze deptał go i znęcał się nad nim. Ale tymczasem William zdążył nabić broń na nowo, i posłać mu kulkę w bok. Z rykiem tak straszonym, że się rozległ o milę w około, zwierzę padło na kolana, zerwało się znowu do skoku, postąpiło kilka kroków, chwiejąc się i padło nareszcie nieżywe. Trawa była na około zboczona straszliwie krwią jego.

William ocalał, ale niebezpieczeństwo nie tylko jemu groziło:

Henryk i Arend byli ścigani także od innych bawołów. Śpiąwszy tedy konie ostrogami, wdarli się chyżo na wzgórze. Ogrom i ciężar bawołu utrudnia mu wspinanie się na wyżyny, chociaż na równinie koń go nie prześciga. Ujrawszy więc wzgórze przed sobą, bawoły dały za wygraną i popędziły za uciekającym stadem. Myśliwi sądzili, że je natychmiast dogonią, gdy nagle cztery bawoły zatrzymały się, stając na krzyż koło ranego, który tarzał się na ziemi i uderzyły na niego... Myśliwi osłupieli. Zamiast przyjść z pomocą ranemu towarzyszowi, jak to czynią słonie, cztery bawoły tratowały tego ranego i bodły, dopóki tylko tenże dawał najmniejsze życia oznaki. Na ten raz nie widać w nich było nawet zaciekłości szalonej, przeciwnie zdawały się działać, jakby tylko pod wpływem niepojętego jakiegoś instynktu.

Było coś straszliwego w tém morderstwie... A przecież jakże często i pomiędzy ludźmi przyjaciele stają się nieprzyjaciółmi człowieka dotkniętego nieszczęściem.

Dobiwszy ranego, dopiero cztery bawoły popędziły za stadem i wkrótce się z nié zównały.

Bawół, którego William zabił, był taki ogromny, że równego mu nie zdarzyło się jeszcze zabić

młodym myśliwym. Przez ciekawość więc wymierzili jego rozmiary. Miał ośm stóp długości, a blisko sześć wysokości. Rogi jego u szczytu były oddalone od siebie o pięć stóp i trzy cale. Ogromna szrama, na dwie stopy długa, widoczna była na karku zwierzęcia, mimo bujnej sierści, oznaki jego sędziwego wieku. Rana, pozostawiająca ślad taki, mogła być tylko zadana przez lwa. Oprócz téj, trzy jeszcze podobne na ramieniu wyraźnie świadczyły, gdzie zagłębiły się niedawno lwie pazury.

Wycięto z obu zwierząt kilka sztuk wyborowego mięsiva na zapas, i po niedługim spoczynku i uczcie ze świeżego mięsiva, udano się w dalszą drogę.

XVII.

Zatrute bagnisko.

Ósmego dnia wieczorem myśliwi obozowali nad małym strumieniem, który wedle ich obrachunku miał znajdować się mniej więcej o sto dwadzieścia mil od miejscowości, z której wyjechali.

William ani na chwilę nie wyrzekł się nadziei dostania upragnionych giraf, i nie zaniedbywał nic, coby go na ślad ich naprowadzić mogło. Przedłużało to podróż z wielkiem zmartwieniem trzech jego towarzyszy. Ale William przy swym uporze miał taki szczerzy dobry humor, taki był z niego wesoły koleżka, że to usposobienie oddziaływało na innych, którzy też żadnym sposobem nie mogli się na niego gniewać, ani mieć żalu do niego. Musieli zadowolnić się pewnością, że bądź co bądź posuwają się przecież zawsze w kierunku Graaf-Reinet, jakkolwiek bardzo powoli. Wschodzące słońce ukazało podróżnikom najwspanialszy obraz, jaki oczy ich oglądały w Afryce.

Obok nich wznosiły się gęstwiny oleandrów okrytych gęstym, precudownym, a barwnym i wonnym kwiatem. Po kwiatkach przelatywały pełzające zielone, *certhia nectarinia* precudne ptaszęta, których upierzenie jest niezmiernie świetne. Dolinka, w której myśliwi nocowali, była tak piękna, że nawet zwierzęta nie miały ochoty jęj opuszczać, nie miała jednak wody bieżącej, tylko szereg jeziorzek bagnistych. Gdy myśliwi przebyli kawał gruntu suchego pomiędzy dwoma takimi jeziorkami i przez to dostali się na drugą ich stronę, uczyli wstrętne wyziewy zgnilizny, które wiatr zanosił właśnie ze strony, w którą dążyli. Stało się to wkrótce tak nieznośne, że musieli się zatrzymać i postanowili wziąć się na lewo i iść pod wiatrem.

(D. c. n.).

SZARADA.

(T. K. z Hulidowa).

Przyjaciele moi mali,
Czy będziecie się gniewali,
Gdy dziś wam powiem szaradę,
Która ma tę wielką wadę,
Że niełatwa i zadługa?

* * *

Włoskie miasto trzecia druga,
Pierwszą znajdzie w alfabecie,
Drugą czwartą na kajecie,
Po niej pisze się udatniej;
Gdy wyjmiecie j z ostatniej;
Wziąwszy wprzód pierwszą drugą,
Zaraz będzie waszą sługą,
Piękna, wysmukła krzewina,
Która się na k zaczyna.
Wreszcie w całej — dużo złota.
Czy zgadnąć bierze ochota?

Łamigłówka zgłoskowa (Janio P.).

Z następujących zgłosek: a—asz—dzie—e—frak—ja—le—lus—ne—ów—wor—zu—ułożyć wyrazy. 1. Drzewo. 2. Przysłówek. 3. Mieszkaniec Afryki. 4. Bohater starożytny. 5. Strój. 6. Spójnik. Pierwsze litery, od góry do dołu i końcowe w tym samym kierunku odczytane, utworzą imię i nazwisko sławnej artystki polskiej.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 30-go.

Zadania konikowego:

Witaj wiosno, wiosno miła!
Kwiaty rosną już na łące.
Rosną zioła woniejące,
Bcś ty, wiosno, już wróciła.

* * *

Witaj, witaj, wiosno droga!
Już brzmi w gaju głos słowika,
Co nam w serce mile wnika.
I co nuci na cześć Boga.

Łamigłówki liczbowej:

Kraszewski.
Kra.
Ikra.
Skir.
Szew.
Iskra.
Rak.
Wir.
Kir.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.



KOSZYKARZ.

Wyplatam, roznoszę,
Koszyczki, kosze,
Kształtów rozlicznych,
Tanie, choć ładne,
Bo pustki skaradne
W koszyczkach ślicznych.
Panienki, chłopczyki!
Wy, jak te koszyki,
Takięj wartości,
Ile na życie
W główki włożycie
Mądrości.

Azet.

KOMAR I PAJĄK.

(naśladowane).

(Dalszy ciąg).

— Żadnym sposobem nie mogę sobie przypomnieć — mówił komar — jakim sposobem dostałem się do wody. Tyle tylko wiem, że wyszedłem z jajka, które przylegało do jakiegoś kamyczka.

— To tak, jak ja — odezwał się pająk — ja także wyszedłem z jajka i wiem, że to mateczka je zniosła; twoja mateczka musiała także jajka znosić.

Komar popatrzał na niego ze zdziwieniem.

— Mateczka? — powtórzył — ja nie wiem nawet, co to znaczy.

— Ba! — rzekł pająk — musiała zginąć przed twojem urodzeniem; ale każdy ma przecież matkę i ty ją miałaś niezawodnie, była podobna do ciebie. Moja znów była takim samym pająkiem, jak ja, pamiętam ją doskonale, nosiła mię nieraz na grzbiecie razem z mojami braciszkami i siostrzyczkami. Biedna mateczka! dawno już nie żyje, zostały mi po niej tylko na pamiątkę dwie łapki tylne, wiszą tam na rogu latarni. Po stracie tej drogiej mateczki, umieściłem martwe jej zwłoki w tém miejscu, ale po kilku tygodniach tak zeschły, że rodzone dzieci by jej nie poznały. Raz w nocy zerwał się straszny wichur i rozszarpał te szczątki, uniósł cały tułów i sześć łapek, zostało mi tylko dwie łapki, które z wielką czcią przechowuję. Ale nie mówmy już o tych smutnych dziejach — dodał pająk, ocierając łzę z oka — opowiedz mi teraz, mój komarze, jak to ty wydobyłeś się ze swego jajka i co tam robiłeś w wodzie. Musiałeś mieć skrzydełka przemoknięte zupełnie.

— Ja bo wtenczas wcale skrzydełek nie miałem — mówił komar — wyglądałem, jak malutki robaczek biały, miałem tylko sześć

łapek. Bardzo mi tam było wesoło w wodzie, żyłem wśród licznej gromadki braciszków i siostrzyczek, zupełnie do mnie podobnych; zajadaliśmy sobie odrobiny jakichś wodnych roślinek, a czasem chwytałyśmy drobniutkie owady, te nam najlepiej smakowały.

— Bardzo wierzę—rzekł pajak—owady, to przysmak nieporównany.

— Na nieszczęście—mówił dalej komar—mnóstwo niebezpieczeństw nam zagrażało tam w wodzie. Ogromne ryby przepływały koło nas, wytrzeszczając okrągłe, straszne oczy, raz taka ryba o mało mnie nie pochwyliła w paszszę, ale ukryłem się szybko pod kamyczkiem. Pewnego rana naradzaliśmy się z braciszkami i siostrzyczkami, jakby się uchronić od tych żarłocznych ryb, jeden z braciszków spał jeszcze, a przebudziwszy się, zawołał:

— Ach! jaki okropny sen miałem! śniło mi się, żeście wy wszyscy powbijali się w jakieś okruszyny włókien, wyglądaliście tak zabawnie, jakby jakieś paczki nieżywe. Ja nie chciałem sobie tyle trudu zadawać i leżałem spokojnie na piasku. Nadpłynęła tymczasem ogromna ryba, na was nie spojrzała nawet, a mnie chwyciła w swoją olbrzymią paszczę i pożarła. Taki mię przestraszył oganął, że przebudziłem się odrazu.

— Ależ to wyborny pomysł — rzekłem — trzeba naprawdę tak zrobić, a będziemy bez pieczni.

Nie wiele myśląc, zacząłem zaraz wyciągać z dna wody różne drobne włókienka, tymczasem snułem z usteczek długą, giętą niteczkę, owijałem się, przymocowując włókienka tą niteczką i wkrótce urządziłem sobie pokrowiec, w którym się całkowicie ukryłem. Zostawiłem tylko malutki otworek i czasem wychylałem z niego łapki przednie lub główkę. Wszyscy braciszki i siostrzyczki poszli za moim przykładem, bardzo nam było wygodnie w tych pochewkach które pływały po powierzchni wody, jak małe łódeczki. Było to bardzo wesołe życie, unosiliśmy się wszyscy na falach, chwytałyśmy pożywienie, bez żadnego trudu, bo samo do nas podpływało, rozmawialiśmy sobie żartowali z ryb, które nas brały za kawałeczki drzewa. Aż raz, pamiętam, zbliżyłem się do brzegu i zawołałem na jednego z braciszków, który płynął w pobliżu. On nic nie odpowiedział i nawet główki nie pokazał.

— Co tobie, braciszku — zapytałem—czyś ty nie chory?

On milczał ciągle i spostrzegłem, że zatknął zupełnie otworek w swoim pokrowcu.

— Nie rozumiem, co im się stało—powiedziała siostrzyczka, zbliżając się do mnie—jeden po drugim chowają się i zamykają drzwiczki od swoich domków.

Tymczasem i nas oboje z siostrzyczką sen zaczął morzyć, aż w końcu usnęliśmy na drodze i już nic nie pamiętam, co się z nami działo.

(D. c. n.).

BRZOZA I SOSNA.

— Biedna ta sosna — mówiła młoda brzoźka, potrząsając zielonemi gałązkami — jakie ona ma brzydkie listeczki, twarde, sztywne, ciemne, to nawet niepodobne do listeczków prawdziwych, te igiełki sosnowe. A jak to ja ślicznie wyglądam, jak mi wietrzyk rozwija te zielone, duże, miękkie listeczki, jak zaszleszczą wszystkie razem, zaszumią, żadne drzewko nie może iść ze mną w porównanie.

— Nie trzeba się nigdy zanadto pysznić swojemi wdziękami — odrzekła sosna poważnie — nie przeczę, że twoje listeczki ładniejsze są teraz od moich igiełek, zobaczymy, co to będzie później, jak zima nadejdzie.

— Cóż to, myślisz, że wyładniejesz na zimę? — pytała brzoźka, śmiejąc się.

— Nie wyładnieję, ale też i nie zbrzydnę — mówiła sosna — będę zawsze jednakowo wyglądała przez cały krągły rok, a twoja piękność zniknie bez śladu, jak tylko mrozy nastaną.

— Ej, zrzedzisz, stara, dałabyś pokój z tą nedorzeczną przepowiednią — rzekła brzoźka ale jednak posmutniała troszkę, bo przypomniawszy sobie, że te ładne, zielone, szleszczące listeczki niezbyt dawno jej wyrosły, gdy promyczki słońca, silniej przygrzały na wiosnę. Nie mogła sobie przypomnieć, co się z nią przedtym działo, bo spała głęboko przez całą zimę.

Minęło lato, nastala jesień, listeczki naszej brzoźki zaczęły żółknąć, usychać i opadać, a gdy pierwszy śnieg ziemię przypruszył, opadły wszystkie i czarne, ogołocone gałązki, smutno sterczały, nie szumiały już, tylko z głuchym chrzęstem uderzały czasem jedna o drugą, gdy się wiatr zerwał silniejszy.

Sosna stała ciągle wśród innych drzew tak samo, jak i latem, igiełki jęj nie schły, nie opadały, a ciemna ich zieloność bardzo ładnie teraz odbijała od ubielonej ziemi; przy czarnych gałęziach drzew liściastych wyglądała tak strojnie i ozdobnie nasza sosna, że miło było na nią popatrzeć.

Brzoza i sosna nie mogą zmieniać swoich liści, bo je tak Pan Bóg stworzył, ale dziewczynki powinnyby rozumieć, że mocna i trwała sukienka jest zawsze lepsza od nie-trwałej.

Dwie cioteczne siostrzyczki, Andzia i Misia, pojechały raz z rodzicami na cały dzień do Willanowa. Andzia koniecznie prosiła mamy, żeby jęj pozwoliła włożyć najładniejszą sukienkę białą tiulową, z bladorożową przepaską i różowe atłasowe trzewiczki. Misia nie myślała nawet o tém, jak się ma ubrać i mama kazała jęj włożyć szafirową płócienną sukienkę i zwyczajne, czarne, skórkowe trzewiczki.

Dziewczątka ubawiły się wybornie w Wilanowie, a gdy wracały wieczorem do domu, zaczęły spoglądać na swoje ubranie. Śliczna sukienka Andzi była zupełnie zniszczona, podarta i zbrukana, wstążka różowa poplamiona, a na atłasowe trzewiczki straszno było spojrzeć. Misi płócienna sukienka była taka świeża, jak i rano, a trzewiarki, obtarte z kurzu, czyściutko i porządnie wyglądały.

Wówczas Ciocia opowiedziała im bajeczkę o brzoźce i sośnie.

Porządna Żolka.

Żolka pinczerka było to przesłiczne stworzenie, kawowego koloru, o dużych kudelkach jedwabistych, maleńkim nosku i czarnych błyszczących oczkach, jak dyamenty.

Była taka mądra, że lubiła niezmiernie kąpiel i czesanie, i polewanie wódką kolońską, chociaż w tym ostatnim razie, co powąchała swą łapkę, to kichnęła.

Nieraz na przechadzce rozmaite inne pieski zbliżały się do Żolki, aby z nią zrobić znajomość, i otóż uważano, że psina Żolka najoczywiściej robiła wybór między niemi. Gdy jaki piesek brudny zbliżył się do niej, ona zazwyczaj kichnąwszy uciekała zupełnie, tak, jakby mówiła:

— Fel! proszę się do mnie nie zblizać! nie wdaję się z brudasami.

JÓZIA W KRAINIE LALEK, wyjątki z listów małej podróżniczki.

(Dalszy ciąg).

Całe towarzystwo weszło do najbliższego domeczku i usiadło na ślicznej macie, która jest rodzajem kobierca, bo w Japonii krzesel ani kanapek nie ma. Józję nie kłopotowało wcale takie siedzenie, i dla Matyldy ono dosyć się stosownem zdawało, ale na rodziców tak siedzących nie mogła Józja w żaden sposób patrzeć, żeby się nie rozśmiać. A tu tymczasem Japończycy na około byli tak uprzejmi i grzeczni, że biednej dziewczynce wstyd było za jęj niegrzeczność, a mimo to za nic nie mogła wstrzymać się od śmiechu. Odwracała tedy aż oczy, ale ojciec widząc to, naumyślnie jeszcze zaczął się tak krzywić, udając, że mu siedzieć nie wygodnie, że aż Józja nareszcie musiała śmiechem wybuchnąć, Matylda rozśmiała się oczywiście także, i o-bie matki i pan Poncet uśmiechnęli się z wesołości dziewczynek, co ujrzawszy obecni Japończycy zaczęli śmiać się tak serdecznie że aż to w sąsiednich herbaciarniach zauważono i śmiano się wszędzie.

Dopiero przy tej sposobności dowiedziała się Józja od Matyldy, że niema na świecie drugiego ludu równie wesołego, jak Japończycy, gotowi śmiać się lada czego, jak małe dzieci. Ale gdy Matylda to mówiła, tymczasem jeden z Japończyków, podobno sam właściciel herbaciarni, przybliżył się do towarzystwa i kłaniając się po swojemu bardzo grzecznie, zaczął je przeproszać za ten śmiech. Tłómaczył, iż oni doskonale widzą, jako podróżny Europejczyk udaje tylko żartami, że siedzieć po japońsku nie umie, ale ponieważ wiadomo już jest niektórym Japończykom, że Europejczycy uważają za niegrzeczność podobne wtrącenie się obcych w ich sprawy, przeto przypomniawszy sobie o tém Japończycy, przepraszają Europejczyków za swą mimowolną niegrzeczność. Przy tych słowach gospodarza, wszyscy Japończycy, którzy się wprzód śmieli, teraz kłaniali się uprzejmie, potwierdzając uprzejmemi gestami jego słowa.

Pan Poncet wtedy odpowiedział im, że Europejczycy, nie lubiący wtrącania się obcych w ich sprawy, muszą być zapewne Anglikami, ale ci, którzy w téj chwili w herbaciarni siedzą, są Francuzami i Polakami, lubiącymi przeciwnie pośmiać się z każdym

obcym uprzejmym człowiekiem, równie jak pomódz mu, jeśli jest w kłopotcie. Ta odpowiedź pana Ponceta tak się wszystkim podobiała, że zaczęli znowu śmiać się, kłaniać, klaskać, jak dzieci, i czynić tysiące uprzejmości Europejczykom. Częstowali ich herbatą w swoich ślicznych filiżaneczkach dla lalek, z przezroczystej jak szkło porcelany, cienkiej prawie jak papier. Przynieśli paniom i paniomkom po gałązce grusz i jabłoni, okrytych kwiatami tak wielkimi, jak stulistne róże prawie, a są to najulubieńsze i najkosztowniejsze bukiety pań japońskich.

Nareszcie zjawili się Kuglarze, których wszędzie pełno i znów sztuki chcieli dla europejskich pań pokazywać. Ale pan Poncet powiedział, że czas jest na zwiedzenie Yeddo i trzeba było z żalem opuścić gościnną herbaciarnię. Józia tak się ujęta uczuła grzecznością dobrych Japończyków, że odchodząc posyłała im pocałunki ręką od buzi, nie wiedząc jak inaczej uprzejmość własną wyrazić. Patrząc na to, pani Poncet rzekła:

— Nieraz już uważałam, że obejście tu-tejszych krajowców ma wpływ nawet na cudzoziemców, którzy muszą podobno często wstydzić się tutaj za swą rubasność. Gdybym mogła, sprowadziłabym do Japonii wszystkie dzieci europejskie, aby się wychowały w tutejszem otoczeniu, i przejęły tutejsze zasady grzeczności, dla szczęścia własnego i swoich najbliższych.

Na te słowa Józia spojrzała na swoją Mamę mocno zdziwiona, gdyż zwykła jest zastanawiać się nad każdym usłyszanym wyrazem.

— Cóż cię tak dziwi?—spytała Mama.

— To co mówi pani Poncet — rzecze Józia — wiem, że należy zawsze być grzeczną, ale nie myślałam, żeby od grzeczności zależało aż szczęście nasze?

— A jednak tak jest—odpowiedziała Mama — ale aby to rozumieć, trzeba rozumieć grzeczność właściwie, to jest tak, jak ją rozumieją Japończycy, bo wtedy dopiero ujrzymy, czym jest prawdziwa grzeczność, a jest ona uprzejmą przychylnością względem wszystkich ludzi bliźnich.

Józia zastanowiła się nad znaczeniem prawdziwej grzeczności, a tymczasem postępowano pieszko za panem Poncetem od japońskich herbaciarni, w pobliżu wspaniałego europejskiego dworu kolejowego, ku Yeddo. Pan Poncet umyślnie szedł pieszko i powoli

na proźbę rodziców Józii, aby można było się lepiej wszystkiemu przypatrzeć. Z początku była to niezmiernie miła przechadzka pomiędzy kwiecistymi ogródkami lalek, otaczającymi herbaciarnie, których pełno jest na skraju miasta. Wkrótce jednak ogródki zaczęły ustępować miejsca domom, coraz gromadniej się ukazującym. Ulice zjawily się pomiędzy domami, a na nich ruch coraz zwawszy, tak że ojciec wziął Józję za rękę, bojąc się jakiego przypadku, zwłaszcza ze strony biegaczy, których dziewczynka przestraszyła się na wstępie. Bo jakże się się było nie przestraszyć, gdy z bocznej ulicy wypadli nagle prosto na Józję dwaj ludzie na wpół nadzy, rozczochrani, niosąc na ramionach coś podobnego do szerokiej ramy, albo raczej do szuflady, z którejby dno odjęto i tylko pozostałe cztery boki uwieszono wzdłuż na kiju jak ramkę. W tej ramce skulony w cztery pałaki siedział człowiek, dotykając brodą własnych kolan i z największą trudnością utrzymując się w równowadze przy szalonym pędzie biegaczy, szarpiących nim wraz z jego ramką.

(d. c. n.).

SZARADA.

Druga zgłoska miasto, a pierwsza litera;
Z wszystkiego się kwiaty i owoce zbiera.

Łamigłówka kryształowa.

(Antoni Władysław).

1. Litera.
2. Narodowość.
3. Imię męskie.
4. Jedzenie żołnierza.
5.
6. Przymiot wysoko ceniony.
7. Rodzaj tłuszczu.
8. Wykrzyknik.
9. Spółgłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko ulubionego pisarza dla dzieci.